ROK DRUGI.

№ 29.

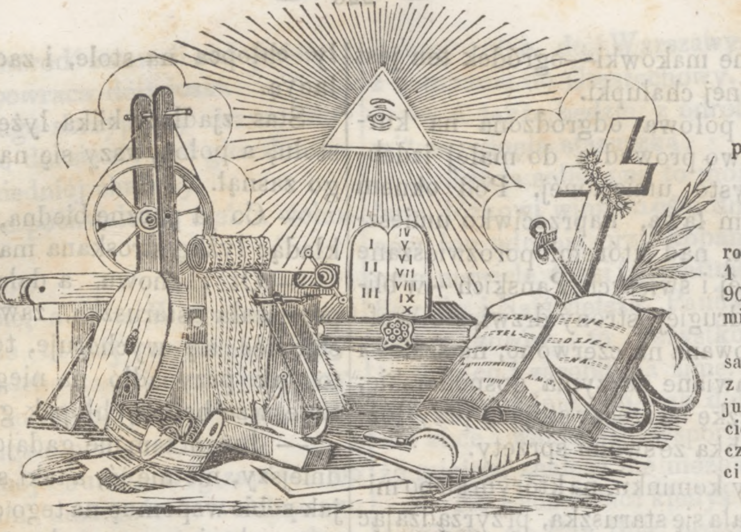
Warszawa

Dnia 7 (19) lipca

1857.

Niedziela

6 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k, 80. półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prawdziwa chwała i radość jest, chlubić się w Bogu, nie w sobie, cieszyć się z Jego wielkości, nie ze swojéj cnoty, i nie przywiązywać się do żadnego stworzenia, tylko z miłości ku Bogu. (O naśl. Chr. K. 3. R. 40).

Ofiarowanie się Matce Boskiéj.

(Obrazek wiejski).

—

Smutne, bo smutne niektóre okolice Płockiego, owe płaszczyzny pobielone piaskiem, otoczone lasami sosnowemi, urozmaicone gdzieniegdzie ubożuchną wioską ze swemi domkami, pokrytemi słomą, przy których opuszczone ogródki z kamiennem ogrodzeniem; a całą ozdobą jest mały stawek, uciecha domowego ptastwa, otoczony wierzbami, maczającemi swe pochylone gałązki w jego cichych wodach. Za stawkiem z wąziuchną grobelką, rozciągają się błonia, na których paszą się popętane koniki, krówki i bawią wiejskie dzieci, pilnując dobytku gospodarskiego.

W pobliżu w końcu wioski, na wzgórku bieleje dworek otoczony wieńcem topoli, koło którego w czworobok ustawione zabudowania gospodarskie. Nieopodal wznosi się drewniany kościołek ze smętarzem, odarnione groby, świeże mogiły, kilka skromnych krzyżów, i cicho szumiące lipy poruszane letnim wietrzykiem, ot i ostatni spoczynek i kres ziemski pracowników wioski.

Ta cisza i smętność, na nieprzywykłym do nich, dziwnie smutne zrobiłyby wrażenie, ale i ta okolica ma swoję piękność i przystraja się w życie. Kiedy zachodzące słońce rzuca ostatnie promienie, powstaje ruch w całéj wiosce, robotnicy wracają z pola, gosposie zwołują dobytek, chłopcy czwałują na źrebakach, wracając z paszy, dziewczęta dworskie i żony parobków z piosnką na ustach spieszą do obory. Wszystko tchnie życiem i swobodą, jaką daje uczciwa całodzienna praca. I każdy mieszkaniec podobnej wioski nie opuści jéj, a wypadkowo przeniesiony w obce, chociaż wspanialsze i bogatsze okolice, tęskni za swoją strzechą.

Wejdźmy do owéj zagrody stojącéj w oddaleniu, o dwóch pooklejanych okienkach, mchem porosłym dachu, wyszczerbionym kominie. Naprzeciwko okien mały ogródek, obwiedziony kołkami i ciernią, zasadzony kapustą i brukwią, między któremi kołyszą się na wątłych

łodygach czerwone makówki—ogródek ten jest ozdobą odosobnionej chałupki.

Z sieni, któréj połowa odgrodzona na kurnik, drzwi na prawo prowadzą do małéj izdebki, obielonéj i czysto umiecionéj. Pod oknem stoi stolik, przy nim ława, naprzeciwko umieszczone dwa łóżka, nad któremi porozwieszane obrazy Matki Bożéj i świętych Pańskich—w bliskości komina, z drugiéj strony drzwi, stoi szafka z pułkami, malowana na czerwono, na szafce i na pułkach poustawiane naczynia gospodarskie; dodajmy skrzyneczkę na rzeczy stojącą przy łóżku, oto i cała izdebka ze swemi sprzęty.

Na wstępie przy kominku, na którym słabo migotał ogień, krzątała się staruszka, przyrządzając wieczerzę dla synowéj siedzącéj na ławie, odpoczywającéj po całodziennym trudzie i pracy przy żniwie. Mały chłopczyk z białemi włoskami, ubrany w grubéj koszulinie, związanéj u kołnierza czerwoną wstążeczką, przepasany krajką, stał daléj przy piecu, smutno spoglądając. Nie było to owo hoże, wiejskie chłopię, pełne pustoty i figlów; twarzyczka jego mizerna, chude rączyny i nogi, świadczyły o niedawnéj słabości.

— Stasiu! co tobie, zapytała siedząca matka, że stoisz jakby martwy?

Chłopczyna nie zmieniając postawy, nic nie odpowiedział.

— Stasiu! chodźno do mnie, powtórzyła.

— A idźże do matki, kiedy cię woła, odezwała się staruszka.

Staś nic nie odpowiadając, zbliżył się nareszcie do matki.

— Co tobie, moje dziecko, zapytała troskliwie, garnąc go do siebie, może ci się jeść chce?

— Nie, matuniu.

— Może cię chłopcy wybili?

— Ej nie.

— A może cię co boli?

— Nie, nie, matuniu, odpowiadał coraz bardziéj smutnym i cichym głosem.

— I cóż ci jest przecie?

— Nic mi matuniu, nic, mówiło dziecko, kładąc głowę na kolana matczyne.

Stroskana niewiasta smutnie się zamyśliła.

Staruszka tymczasem przyrządziła wieczerzę, otarła fartuchem stół, stawiając na nim miskę pełną kartoflanéj zupy. Wyjęła utkwione w pułce drewniane łyżki, podając jednę synowéj, drugą Stasiowi. Przysunęły obie ławę, posadziły chłopca na stole, i zaczęto w milczeniu kolacyą.

Staś zjadłszy kilka łyżek, zsunął się cicho ze stołu, a położywszy się na łóżku matki, niedługo zasnął.

— Co ja pocznę biedna, sama, mówiła cicho, kładąc łyżkę stroskana matka.

— Ot i znowu, a dałabyś Witkowa pokój, przerwała staruszka, zawsze tylko wyrzekasz; chłopiec się wychoruje, to i będzie zdrów, już to tak przypadło na niego, ale jak przejdzie, to jeszcze będzie chłopak galanty.

— Już mi tam nie gadajcie—codzień taki biedniejszy, nic nie jé, a taki smutny! O mój Boże, jak sobie wspomnę na tego chłopca gdziekolwiek, przy robocie, czy w polu, to mię tak serce boli. Byłam z nim i u organiściny, bo ona znachorka wielka; dała mi i ziółek i smarowanie, a licha warto. Co ja pocznę, co ja pocznę?... Jego wzięli, a Pan Bóg zabierze mi i to jedyne dziecko.

Tak mówiąc żałośnie, otarła łzy fartuchem, przeżegnała się, i zmówiwszy krótki, a serdeczny pacierz, udała się na spoczynek.

Nie było czasu na żale, noc krótka, dzień długi, a praca tak ciężka.

Staruszka odmawiając swe pacierze, posprzątała wszystko, pogderała jeszcze, i także udała się na spoczynek.

I cisza zaległa izdebkę, sen pocieszyciel strudzonych skleił powieki. Pospiesza on najprędzéj do niskich chatek, gdzie mieszkają ludzie czystego sumienia, a poczciwej pracy, pokrzepić, wzmocnić i choć we śnie pocieszyć słodką nadzieją, dając zapomnienie trosk obecnéj chwili.

Przebiegła noc prędko, wstało słońce a z niém i ludzie zaczynają się krzątać i ruch ożywia wioskę. Już i ekonom obwoływał, budząc po drodze. A i w naszéj chałupce Witkowa ubrawszy się naprędce, otuliła śpiącego Stasia i wybiegła, spiesząc za drugimi na zagon. Wznosi się coraz wyżéj słońce, zbiera rosę z łąk i kwiatów, i coraz mocniéj dogrzewa. Robota idzie żywo, złote kłosy zboża padają pod sierpami pracowitej gromadki, i chociaż ciężko i gorąco, przecież wybiegnie tu i owdzie piosnka wesołej dziewczyny. Kumoszki pogwarzą, ekonom krzyknie, wiaterek przeleci, i jakoś dnia i roboty ubywa.

Pracuje i nasza Witkowa, ale jéj coś smutno; muszą ją nawiedzać jakieś myśli i żale, bo aż się kumoszki dziwią jéj smętności.

Aż w końcu i słońce zaszło— oj radość, radość,

bo cała gromada wśród swawoli chłopców, i śmiechu dziewczyn powraca do wioski.

U Witkowéj niedługo skrzypnęły drzwi, warknął *Nurek*, i wkrótce dał się słyszeć głos Józefowéj gospodyni z sąsiedniéj chałupy.

— Niechże będzie pochwalony, rzekła wchodząca.

— Na wieki wieków.

— Jakże się macie, a co to Witkowa, coście tak smutni? A jakże ta mój krześniak? Przyniosłam dla niego trochę kaszki, co mi mój przywiózł z miasta. To mówiąc, położyła na stole torebkę, którą trzymała pod chustką.

— Bóg zapłać moja kumo, Bóg zapłać, bo też prawdziwe mam umartwienie z chłopcem; ciągle mi słabuje, biedna moja sierota... odpowiedziała Witkowa, tuląc Stasia do siebie.

— Ej nie przypuszczajcie sobie takiéj turbacyi do głowy; zwyczajnie jak dziecko, przesłabuje, to i będzie zdrowe—moje wszystkie tak samo chorowały, a dlatego teraz takie zdrowiutkie.

—Ależ moja matuniu, jedyne to moje dziecko, całe moje kochanie; żebym je miała stracić, tobym się zamartwiła—i zamyśliła się smutnie biedna kobiecina.

— I na cóż się zdało takie biedowanie? jak Bóg da i Najświętsza Matka, mówiła Józefowa...

— To też wiecie moja kumo, co ja sobie kalkuluję i układam.

— No, a przecie?

— Oto widzicie na tygodniu pewnikiem będzie koniec żniwa ozimego, więc umyśliłam sobie, że jak da Bóg doczekać, skończymy i zapłatę dostaniemy, to się ofiaruję do Częstochowy, Najświętszéj Pannie Cudownéj za moim Stasiem...

— Co ona tam plecie... mruczała starowina.

— Choć to grzech odradzać w takiem poczciwem założeniu, mówiła Józefowa, ale moja kochana, tak sobie to łatwo mówić, a tu człek nienałożny do drogi, nieświadom, to jeszcze i zginie gdzie, a i z grosza żyć trzeba...

— Już mi tam nie perswadujcie, bo mi się ciągle zdaje, jakby mi coś szeptało, że jak się ofiaruję do Częstochowy za moim Stasiem, to będzie zdrów. I ja sobie już wszystko rozkalkulowałam. Oto widzicie, w Apolonce przy kościele mieszka kobiecina, Frankowa, co rok chodzi na Jasną-górę, i była już z jakie dziesięć razy, to ona świadoma i drogi i wszystkiego. Przeszłéj niedzieli z umysłu chodziłam do kościoła umówić się z Frankową, i naradziłyśmy się, że pójdziemy obie do Warszawy, a ztamtąd razem z kompanią do Częstochowy.

— A jakże będzie z odrobkiem, a z kartoflami? zagadnęła staruszka.

— Już ja sobie i na to moja matuniu umyśliłam: Józkowi winnam ośm dni od czterech zagonów lnu odrobić przy kopaniu kartofli, swoich mam niewiele, to mi ta i matunia pomoże, a jak Pan Bóg da i Najświętsza Panna powrócić i Staś mi będzie zdrów, to wszystko odrobię, a może jeszcze co i zarobię na zimę. Bo to jak jaki smutek przypadnie, to tak dolega, że się niczego nie chce i wszystko niesporo idzie, a tak ciężko, że miejsca znaleść nie można.

— No i cóż robić? kiedyś sobie tak ślubowała, to niech cię Pan Bóg prowadzi moja Witkowa, a ja już muszę bieżeć, bo na mnie wielki czas. Bądźcie z Bogiem moje kochane, bądźcie z Bogiem, żegnała Józefowa.

— Niech Pan Bóg prowadzi, odpowiedziały wzajemnie kobiety.

Po odejściu Józefowéj dopiero to obiedwie kobiety zaczęły się naradzać a mądrzyć o mającéj nastąpić pielgrzymce, bo też było i nad czem się zastanowić. Podróż daleka, pieniędzy niewiele, a tu wszystkiego potrzeba; ale jakoś sobie uradziły, ufne w miłosierdzie i opatrzność Boską, a pełne wiary i nadziei już się cieszyły przyszłem zdrowiem Stasia.

Nadeszła niedziela, słonko ładnie świeciło, to też i ludek ubrany świątecznie, garnie się do przybytku Pańskiego.

I nasza Witkowa ubrana odświętnie w nowéj chustce na głowie, pobiegła do księdza Proboszcza poradzić się i prosić o błogosławieństwo na drogę.

Ksiądz, poczciwy staruszek, opiekun i pocieszyciel wioski, ucieszony pobożną ufnością swéj owieczki, pobłogosławił i jeszcze obdarzył na drogę, przyrzekając pamiętać o Stasiu. A tak pocieszona i umocowana błogosławieństwem, śmielsza i ufniejsza, zaczęła się wybierać do cudownego miejsca, do stóp Najświętszéj Panny z prośbą o zdrowie dla syna.

Kumoszki i gospodynie ciągle odwiedzają chałupę Witkowéj, a każda to darkiem, to radą, wspomaga jak może; wszystkie zaś ofiarują na świętości Częstochowskie. Aż miléj i weseléj Witkowéj, widząc tylu dobrych ludzi i taką opiekę; bo jakże tu się nie cieszyć, kiedy się czuje życzliwość, jakże nie ufać i nie mieć nadziei? Wielkie

to szczęście przyjaciel w niedoli, dobra rada i pomoc w potrzebie, a otucha w nieszczęściu.

Raniutko we czwartek Witkowa zupełnie wybrana, uściskawszy z płaczem matunię i Stasia, żegnając kumoszki z tysiącem błogosławieństw, poszła do Apolonki do Frankowéj.

I poszły obie, pomodliwszy się w miejscowym kościołku, wzywając Bożego zlitowania i opieki. Na trzeci dzień stanęły w Warszawie, i zaraz nazajutrz poprowadziła Frankowa jako już świadomsza do Paulinów, gdyż z tego kościoła prawie zawsze wychodzą kompanie do Częstochowy. Tam dowiedziały się, że na drugi dzień, po nabożeństwie wyjdzie ostatnia kompania na odpust Narodzenia N. P. t. j. 8 września.

Jakoż na drugi dzień w kościele po-Paulińskim odbyło się sute nabożeństwo na intencyą szczęśliwéj pielgrzymki. Ksiądz powiedziawszy przykładną naukę, pobłogosławił odchodzącym, poczem wyruszyli wszyscy, naprzód chłopcy z chorągwiami, za nimi dziewczęta niosły statuę Najświętszéj Panny, a dalej ksiądz i lud szli tłumnie, śpiewając nabożne pieśni.

Ksiądz odprowadził kompanią aż do Wolskich rogatek, a poleciwszy ją Bogu, jeszcze raz pobłogosławił. I szła pobożna gromadka jeden dzień i drugi, przechodząc przez różne wsie i miasta, zdążając do cudownego przybytku Boga Rodzicy; aż nareszcie po długiéj i ciężkiéj podróży stanęli na miejscu.

W kościołku Nowego rynku czekał ksiądz zamówiony i poprowadził kompanią na Jasną-górę.

Tam u stóp Najświętszej Królowéj padli wszyscy na kolana, dziękując za szczęśliwą podróż, za szczęście oglądania cudownego miejsca.

Następnych dni ludzi było bardzo dużo, że ledwie się mogła Witkowa docisnąć do kaplicy Matki Bożéj. Dostawszy się, uklękła pokornie w kąciku i tak się zaczęła modlić a błagać Najświętszéj Panny o zdrowie dla Stasia, tak szczerze nabożnie, że aż jéj łzy serdeczne płynęły z oczu— korząc się w żalu i skrusze przed obliczem Matki Zbawiciela, padła krzyżem, a wielką czcią i miłością przejęta, modliła się o zdrowie dziecka. Po téj gorącéj modlitwie czuła się lżejszą i szczęśliwszą, i tak jakoś przeczuwała, że Najświętsza Panna wysłuchała jéj prośby i Staś jest zdrowszy... Raźniéj też i weseléj przypatrywała się ludziom różnych narodów, dziwnie ubranych i różnemi językami mówiących, a wszystkich biegnących oddać cześć Najświętszéj Pannie, Cudownéj opiekunce nieszczęśliwych.

Nakupiwszy dla kumoszek świętości, obrazów, medalików, dla dziewcząt pierścionków i korali, jak sobie każda życzyła, zaniosła je do kaplicy przed obraz Matki Boskiéj, które ksiądz poświęcił.

Po skończeniu odpustu, tego samego jeszcze dnia, wieczorem już powracała kompania do Warszawy. Księża z muzyką odprowadzali pobożnych do stóp Jasnéj-góry.

Chociaż nieco śmielsza i pocieszona, spieszyła jednak Witkowa niespokojna i stęskniona za Stasiem, za matunią, za gospodarstwem i wioską całą.

Jak tylko kompania wróciła do Warszawy, nasze kobiety zaledwie przenocowawszy, zaraz świtem wyruszyły do domu i drugiego dnia wieczorkiem stanęły w Apolonce.

Raniutko Witkowa biegnie do swéj chałupki, uradowana i zarazem niespokojna, bojąc się, czy czego złego w domu nie zastanie; usłyszawszy jednak dzwonek parafialnego kościołka, idzie podziękować Bogu za szczęśliwą podróż.

Właśnie ksiądz Proboszcz kończył mszę Św.— po skończeniu wychodząc z kościoła, spostrzegł modlącą się Witkowę.

— Kobieto, rzekł, wysłuchane są modlitwy twoje. Pan Bóg zlitował się w swém miłosierdziu, synek twój zdrowszy, ufaj córko w miłosierdzie Boga, a On cię nigdy nie opuści.

Uradowana matka nie wiedziała, jak w swém szczęściu dziękować, to całowała ręce księdza, to znowu klękała, żegnając się i modląc tak ucieszona, że aż płakała z radości...

Szczęśliwa pospiesza czemprędzéj do chałupki, a przed nią spotyka Stasia w nowéj kapotce bawiącego się wesoło. Chłopczyna zobaczywszy matkę, biegnie naprzeciw, rzucając się w jéj objęcia—nadbiega uradowana staruszka z okrzykami radości, witając córkę, zbiegają się kumoszki, a każda wita, a wypytuje się ciekawie.

Kumoszki opisały Witkowéj, jak ksiądz Proboszcz poszedł do dworu i opowiedział o niéj wszystko Państwu, jak Pani przywołała staruszkę i Stasia i kazała mu zaraz zrobić nową sukmankę, posłała po doktora i poleciła staruszce, aby codzień przychodziła do dworu po mleko dla Stasia, że doktor zapisał lekarstwo, a chłopczyna widocznie się poprawiał i teraz daleko raźniejszy i weselszy.

Ucieszona Witkowa błogosławiła dobrym państwu, całowała Stasia i dziękowała Najświętszéj Pannie za miłosierdzie i opiekę. Nawzajem opowiadała o swéj podróży, o Jasnéj-Gorze i cudach Najświętszéj Panny. Rozpakowano sprawunki, i każda dostała podług swéj myśli i upodobania. I przystroiły się chałupki w nowe obrazki i świętości, a ludek widząc przykład miłosierdzia Bożego na pobożnej Witkowéj, więcéj się do Niego garnął we wszelakiéj potrzebie i Jasna-Góra więcéj miała pobożnych, a Najświętsza Matka więcéj ukochanych dzieci.

Tabaka i Tytuń.

Niema z was zapewne nikogo, coby nie znał tabaki, której używamy pod czworaką postacią: tytuniu, cygar, tabaki do zażywania i prymki do żucia. Użycie i uprawa tej rośliny nieznanej poprzednio w Europie. winniśmy odkryciu Ameryki, zwłaszcza jednej z jéj wysp zwanej *Tabago*, od której pochodzi nazwisko rośliny, jakkolwiek w języku krajowców, zwano ją *Kohibą*. Hiszpanie pierwsi zdobywcy Nowego-Świata, którym palenie przez krajowców liści roślinnych, barbarzyństwem się początkowo wydawało, nietylko że poszli następnie za ich przykładem, lecz nadto zwyczaj ten wprowadzili do swej ojczyzny, za swoim do niéj powrotem, około r. 1500. Użycie tabaki przeszło z Hiszpanii do Portugalii, ztamtąd około r. 1560 do Francyi, przez pośrednictwo Jana Niko (Nicot) ambasadora króla francuzkiego przy dworze Portugalskim, zkąd ją zwano długo we Francji Nikocyaną; dalej rozszerzyło się w reszcie Europy, a dzisiaj niema prawie zakątka, gdzieby jéj użycie znanem nie było. My przejęliśmy je prawdopodobnie od sąsiednich Turków i ztąd używany dawniéj tytuń, miał u nas wyłączne prawie miano *Tureckiego*.

Dobroć liścia tabaki, przerabianego na rozmaite użytki, zależy głównie od klimatu, roli i sposobu jéj uprawy, wreszcie czasu zbierania i sposobu suszenia liścia i t. p. W krajach cieplejszych liść jéj jest delikatniejszym i milszy ma aromat, w zimniejszych zaś jest twardszym i grubszym, w ogóle pośledniejszego jest gatunku. Ztąd to powstały różne odmiany tabaki, których dziś do 40 już liczą; najpowszechniéj jednak dwa jéj uprawiane są gatunki, mianowicie *Wirgińska*, *Zielona*, a tak jednéj jak drugiéj najmniéj znów po 8 odmian mamy.

Tabaka zielona mniejsza jest nieco od Wirgińskiéj, dochodzi od 3ch do 5ciu stóp wysokości, ma liście krótsze, a szersze i kwiat lejkowaty żółty, u góry rozdzielony na pięć części zlekka zaokrąglonych; kwiat zaś wirgińskiéj jest barwy czerwonéj, i ma podziałki ostrzéj zakończone.

Najdelikatniejszy tytuń wydają wyspy Kuba (Cuba) w Ameryce i Jawa w Azyi. W Hindostanie, (w Azyi) tabaka pod nazwiskiem *Kaira* do najlepszych gatunków należy, i nie ustępuje w niczem żółtéj tabace Chin i Tybetu. Hollenderski wreszcie tytuń, którego prowincya *Geldeno* corocznie do 2ch miljonów funtów wydaje, tak jest poszukiwany, że go połowa do Francyi, druga zaś do północnéj Ameryki, a nawet do Kuby się rozchodzi, gdzie go używają do obwijania cygar, dla niezmiernéj delikatności jego liścia.

U nas w kraju uprawiana tabaka, jako w klimacie zimniejszym, nie może się liczyć do wyborowych, dlatego do fabrykacyi wyższych gatunków tytuniu i cygar liście sprowadzane są z zagranicy.

Skreśliwszy wam w krótkości historyą sprowadzenia téj rośliny do Europy i niektóre jej odmiany, nie od rzeczy będzie zastanowić się nad jéj własnościami, a ztąd dojść do wniosku, o jej użytkach lub szkodliwości, co tem jest konieczniejszem, że użycie tabaki i tytuniu, tak się dziś rozpowszechniło, iż każdy niemal bez różnicy stanu, ubodzy nawet rzemieślnicy i wyrobnicy puszczają w powietrze z dymem troskę, a z nią krwawo zapracowany grosz, którego brak nową rodzi troskę i przyprowadzić może do nędzy; i chociaż nieraz daje się uczuć brak pierwszych potrzeb do życia, namiętny palacz patrzeć będzie obojętnie na zgłodniałą żonę i dzieci, byleby miał kilka groszy na tytuń—taki bowiem jest skutek tabaki, iż początkowo *pobudza*, daléj *odurza*, a w końcu przy nadmiernem zwłaszcza jéj użyciu *poraża*, czyniąc nas nieczułymi na wszystko, co nas otacza. Pobudzając, czyni nas wesołymi, wśród czego umysł staje się chwilowo czynniejszym, wyobraźnia żywszą, i serce swobodniejsze, i temu to właśnie przypisać należy tak łatwe jéj rozpowszechnienie—ludzie bowiem

odkrywszy w téj roślinie ów pożądany przymiot, nie badając należycie dalszych jéj własności, rzucili się namiętnie do wdychania dymu tak miłe wywierającego wrażenia. Ściślejsze wszakże badanie, i nabyte doświadczenie uczą nas niestety, iż pod tym błogim pozorem zabójczy jad się ukrywa. Któż z nas, zanim przywykł do tytuniu, wypaliwszy po raz pierwszy fajkę lub cygaro, nie doznał mdłości, zawrotu głowy, lub womit? Niektórzy silniejszemu nawet ulegli porażeniu; sam bowiem widziałem młodych ludzi, co ledwie połowę wypaliwszy cygara, pobledli, zaniemieli, i padali bez zmysłów na ziemię. Wprawdzie stan podobny był przechodnim, ale po ocuceniu, pozostawała im na dni kilka widoczna niemoc, niesmak, pognębienie, drżenie rąk i nóg, słowem wyraźny sił upadek. Jeśli więc chwilowe użycie tak silny sprawić było zdolne skutek, łatwo wyobrazić nam sobie, jakie następować musi rozstrojenie w organizmie, przy nałogowem użyciu. Po wypaleniu kilku fajek lub cygar, nawet nazwyczajeni do tytuniu, doświadczają pewnego rodzaju gorączki, schnięcia w gardle, niesmaku w ustach, przyczem język bywa zwykle obłożonym, zgoła stanu niezwyczajnego, który jest wynikiem szkodliwego działania nikotyny na zdrowie.

Przykłady jednak podobne rzadko podziałają na młode umysły, którym zdaje się, że z pierwszą wypaloną fajką lub cygarem, otrzymują patent dojrzałości, i nie mają nic pilniejszego, jak zrzuciwszy studencki mundurek, lub w rzemiośle wyzwoliwszy się na czeladnika, oddać się temu zgubnemu nałogowi, wyniszczającemu stopniowo ich zdrowie, siły, i przytępiającemu pamięć, ową skarbnicę wszelkiéj nauki i wiadomości.

Że skutki tak zgubne uchodzą naszéj uwagi, ztąd pochodzi, iż działanie, jakie tabaka wywiera, jest powolnem, i że je zwykle innym przypisujemy przyczynom. Nie wdając się w obszerny traktat naukowy, na powadze znakomitych badaczy powiedzieć możemy, iż użycie tytuniu, cygara lub prymki powodując znakomite wydzielanie się śliny, osłabia trawienie, i przywodzi stopniowo jego organa do niemocy, tak, iż przychodzimy wreszcie do tego stanu, że bez lekarstw trawienie pobudzających, obejść się nie możemy, po których silniejsze znów następuje osłabienie, a stopniowe rozstrojenie organizmu sprowadza w końcu śmierć przedwczesną.

Szkodliwe działania, jakie tabaka na organizm nasz wywiera przypisać należy trzem jéj częściom składowym, czyli trzem jadom, jakie w sobie mieści, to jest *olejkowi lotnemu*, *nikotynie* (które gotowe w tabace się znajdują) i *olejkowi przypalonemu*, (który dopiero wśród palenia powstaje).

Olejek lotny, jest to ciecz tłusta, smaku gorzkiego, którą otrzymać można z odwaru liścia tabaki wygotowanéj pod szpontem; krople tłustości spływające na wodzie stanowią ów olejek, silnéj woni i smaku gorzkiego. Olejek ten ulatniając się, drapie w gardle i do kichania pobudza, a wewnątrz w najmniejszéj nawet ilości zażyty, sprawia zawrót, mdłości i womity.

Nikotyna zaś, jest to gatunek oliwy przezroczystéj i bezbarwnéj, cięższej od wody, która z czasem żółcieje, a wystawiona na działanie powietrza, gęstnieje i przechodzi w kolor brunatny. Zapach ma ostry, mało do zapachu tabaki podobny, smak zaś tabaczny nadzwyczaj palący i przytrzymujący. Ulatnia się przy 250 stopniach ciepła (według Celciusza), pozostawiając osad węglisty. Dym, który wtedy wydaje, roznosi odór tabaki tak ostry i gryżący, że w pokoju, w którym tylko jedna kropla nikotyny ulotniła się, z trudnością oddychać można. Oliwa ta otrzymuje się z liści tabaki sposobami chemicznemi, których tu podawać nie widzimy potrzeby, a działanie jéj jest tak silne i gwałtowne, że kilka jéj kropel zarówno otruwa, czy to połkniętych, czy to w żyły wstrzykniowych, czy wreszcie na białko oka, lub w ranę wpuszczonych. Zażyta jedna kropla nikotyny, prawie w mgnieniu oka utrudnia oddech, poczem następuje drganie mięśni, womity i dyarya; zażycie zaś kilku kropel sprawia natychmiastowy zawrót głowy, okropne kurcze tężcowce, wreszcie ogólne wyczeńczenie sił, po dwóch zaś minutach śmierć. w gwałtownych konwulsyach bez womit i dyaryi.

Tego to jadu znaleziono licząc na 100 części w tabace hawańskiéj 2, marylandzkiéj 2 i $^3/_{10}$, w wirgińskiéj 5 i $^9/_{10}$, w elzackiéj 3 i $^2/_{10}$, w kentuckiéj 6, a we francuzkiéj 6 do 8 miu. Tym sposobem przez wypalenie tylko 100 granów tytuniu i to tytuniu najlepszego, połykamy dwa grana trucizny, jednéj z najgwałtowniejszych. Ci, co palą tytuń z długich cybuchów i nie zaciągają się dymem, mniéj doznają szkody; namiętni jednak palacze, co głównie w tem właśnie znajdują przyjemność, na wszystkie jéj szkodliwe skutki są narażeni.

Olejek przypalony wreszcie powstaje w czasie palenia tytuniu, ma on wiele podobieństwa do olejku, który w podobny sposób z liści naparstnika otrzymujemy; jest ostry, nie miłego zapachu i mocno jadowity. Kropla jedna tego olejku puszczona na język kota, zabija go wśród kurczów we dwie minuty. Hotentoci zabijają nim węże, skrapiając ich język, gdyż najmniejsza jego kropelka, w mgnieniu oka, życia pozbawia.

Każdy więc z palących tytuń narażonym jest na trzy powyższe rodzaje jadowitéj trucizny, a jakkolwiekby go oględnie używał, to sam rozsądek wskazuje, iż w żadnym razie nie obejdzie się bez szkody w zdrowiu. Instynkt zachowawczy i w tym razie jest nam niejednokrotnie wskazówką; nim się to powodując, pomiędzy rozmaitemi gatunkami tabaki, tych właśnie wyszukujemy, które najmniéj w sobie nikotyny zawierają — ztąd owa niesłychana różnica w cenie tytuniu i cygar. Niewiadomego, sam smak już ostrzega, i niema zapewne cygarzysty, któryby nie doświadczył, że druga połowa cygara na nowo zapalona, niegodziwie smakuje; rzuca ją dlatego i słusznie, bo ta druga połowa nasiąkła już nikotyną i olejkiem przypalonym, które przy nowem zapaleniu sprawiają ów niesmak, i skłaniają do odrzucenia przedmiotu zdrowiu szkodliwego. Z podobnéjże przyczyny palimy daleko chętniéj cygara wyschłe niż świeże; z pierwszych bowiem przy ich schnięciu ulatnia się znaczna ilość olejku i nikotyny, przez co stają się i przyjemniejszemi w smaku i mniéj zdrowiu szkodliwemi—schnięcie to wszakże aby było skutecznem, musi być powolnem; suszone bowiem cygara np. na ogrzanym piecu, stają się gorzkiemi przez nasycenie się olejkiem przypalonym, który jest i niezdrowym i w smaku niegodziwym.

Co do *prymki*, ci co ją żują, zabezpieczeni są wprawdzie od olejku przypalonego, lecz natomiast spożywają więcéj nikotyny i olejku lotnego; ci wreszcie, co zażywają jedynie tabakę w proszku, mniéj są narażeni od poprzednich na działanie jadu tabacznego, gdyż liście na tabakę przeznaczone, kilkomiesięcznéj poddane fermentacyi, pozbywają się znacznéj części nikotyny i olejku lotnego. Tak np. Tabaka *Rappe* przyrządzona z najmocniejszych liści tabaki wirgińskiéj, zawiera w sobie zaledwie 2 na sto nikotyny, choć jéj w świeżym liściu przeszło 6 na 100 znajdujemy; zostaje jéj jednak i tak dosyć, aby oddziałać na zdrowie.

Z powyższych przytoczeń widzimy, że tabaka w jakimbądź kształcie używana, zawsze jest szkodliwą, przez udzielanie swych jadów organizmowi; ale że zgubne jéj własności mało są znanemi, dlatego użycie jéj tak się obecnie rozszerzyło, że niepalący tytuniu do wyjątków należą. Mamy jednak prawo spodziewać się, iż z poznaniem prawdy gorączka tytuniowa się zmniejszy, bo niepodobna przypuścić, ażeby kto ze świadomością skutków truł się dobrowolnie, i zdrowie swoje, ów najdroższy skarb każdego, na szwank narażał.

Jeżeli wszakże głos nasz stanie się głosem wołającego na puszczy, dla namiętnych palaczy, niechaj przynajmniéj będzie on nauką dla ojców i matek, iżby nałogowi temu w dzieciach swych zakorzenić się nie dawali. Niechaj będzie przestrogą dla młodzieży, dążącéj tak skwapliwie do cygara i fajki, że z dymem ich wciąga w siebie zarody chorób i zniedołężnienia umysłu w starości; dla młodych wreszcie kobiet i dziewic, które idąc niebacznie za popędem mody, sięgają drobną i wypieszczoną rączką po *cygaretta i pakitosy*, że z ich dymem puszczają swe zdrowie, świeżość lic, białość ząbków, delikatność cery, że je czekają przedwczesne zmarszczki i utrata wdzięków, owéj najdzielniejszéj ich broni, którą tak władać umieją. Niechaj biorąc w usta cygaretto, wspomną na to, że ono przyspieszy złożenie przez nie berła piękności i wdzięku, a jestem pewny, że na wspomnienie to, precz je od siebie odrzucą. Mniéj piękne, którym o zachowanie wdzięków nie idzie, niechaj palą, jeśli chcą tego koniecznie, ale niechaj cygaro w ustach kobiety, będzie patentem jéj brzydoty.

Jak dalece uprawa tabaki, a zatem i jéj potrzebowanie jest upowszechnione, ztąd brać można miarę, że z saméj Wirginii rocznie jéj przeszło 240 milionów funtów na różne strony się rozchodzi, kiedy przed 200 laty kraina ta zaledwie jéj 60 tysięcy funtów produkowała. Na całéj zaś kuli ziemskiéj, według przybliżonego obrachowania pana Krawford, do 4,480 milionów funtów tabaki rocznie się rozchodzi. W stosunku do ludności Nowa-Hollandya najwięcéj jéj spotrzebowywa, bo przecięciowo około 14 funtów na głowę.

Pomimo tak olbrzymiéj uprawy tabaki, nie zbywa bynajmniéj na licznych jeszcze sposo-

bach, któremi ją fałszują, pomiędzy innemi liście rnbarbaru. buczyny i orzeha wioskiego, gatunki mchu, odrośle chmielu, ciemiężyca, rododendron i strączki akacyi Niopo, które sproszkowane i jak tabaka zażyte Ottomaków w południowéj Ameryce mieszkających, w kilkodniowy stan szaleństwa wprawiają. Do przypraw tabaczanych należą jeszcze: miód, cukier i melaja, piasek, saletra, sól kuchenna, nawet szkło sproszkowane w tabace znajdowano, a ileż to może być mieszanin jeszcze nieodgadnionych? Liście burakowe i kartoflane, zapewne niejedno cygaro wypełniają.

Polowanie Zyrjan.

—

Zyrjanie pokolonie czudzkie, które dawniéj całą przestrzeń gubernii Wołogodzkiéj (około 300 mil od nas odległéj), i do niéj przyległe stepy, aż do rzeki Wołgi zajmowało, dziś tylko małą część téj gubernii zamieszkuje, a wszystkich ich obecnie liczyć można do 60,000 dusz płci obojéj.

Ponieważ lud ten rozsypany jest po większéj części po obszernych lasach, nic więc dziwnego, że polowanie z saméj natury stanowi przemysł i niezbędną jego potrzebę, i że z tego powodu jeszcze w dzieciństwie każdy z nich przyuczany bywa do strzelania i łowienia zwierzyny.

Zyrjanie używają gwintówek pojedyńczych skałkowych, robionych przez nich samych, których sztuka złp. 16 kosztuje, a chociaż broń ta nie jest dokładnie wykończoną, to jednakże miejscowi jak najkorzystniej używać jéj potrafią.

Najważniejsze polowanie odbywa się u nich zimową porą. Przygotowawszy sobie zapasy żywności, i włożywszy wszystko do wozu zwanego *nartem*, uzbrojony wyżéj opisaną gwintówką Zyrjanin, w miesiącu październiku, w towarzystwie swéj żony, dzieci i kilku psów gończych, które w tamtych stronach są bardzo silne, wychodzi na polowanie, wiozą koniem zapasy w narcie ułożone. Po oddaleniu się około 7 mil, czyli 50 wiorst prawie od domu, żegna się z rodziną, która zabrawszy konia, powraca do domu, sam zaś zaprzęgłszy psy do narta, udaje się w bok drogi w głąb lasu; a ponieważ śniegi głębokie przejść zwykłym sposobem nie pozwalają, myśliwy więc wkłada na nogi łyżwy, na łokieć długie i ćwierć łokcia szerokie, w których z łatwością szybko chodzić może, i odtąd zaczyna polowanie.

Zabitą zwierzynę składa do nartu, nabija znowu strzelbę, prochu sypiąc bardzo oszczędnie, a śrut drobniejszy lub większy przygotowuje sam, odgryzając zębami kawałki ołowiu. Obrawszy punkt do noclegu dogodny, buduje sobie szałas lub budkę, w któréj nart i zabitą zwierzynę składa, a sam oddala się z psami jeszcze na kilkanaście lub więcej wiorst od obranégo stanowiska poruczywszy je opiece tamtejszych leśnych mieszkańców.

Najwięcej zabijają jarząbków i wiewiórek, z których pierwsze odsyłane bywają partyami po kilkadziesiąt tysięcy sztuk do obu stolic kraju i miast gubernialnych po drodze leżących, a nawet i do Warszawy. Wiewiórki zabite po zdjęciu skórek myśliwi zjadają, a skórki także wielkiemi partyami sprzedają na jarmarku w miasteczkach najbliższych, zkad cześć posyła się do miast wewnątrz kraju położonych, reszta zaś do Chin, celem wymiany za herbatę i towary bławatne. Ze skórek wiewiórczych mamy dwa gatunki futer: z grzbietów popielice sybirskie, a z brzuszków z uszkami, bielistki, nadto z ogonów boa. Oprócz tego biją ptastwo i inne zwierzęta, mianowicie cietrzewie, głuszce, lisy, kuny, tumaki i wilki.

Na niedźwiedzia chodzą z nożami i kosturami, w téj walce okazują wiele zręczności i doświadczenia; napędziwszy bowiem zwierza, rzucają się śmiało na niego, i nożem utkwiwszy w gardło, śmierć mu zadają.

Z pierwszéj wyprawy myśliwi powracają do domu na święta Bożego Narodzenia, na Nowy Rok powtórnie wychodzą, i dopiero przed uroczystością Zwiastowania Matki Boskiéj powracają ze zdobyczą. Wiosną i latem mało strzelają ptastwa, lecz łowią je w sidła tak zręcznie urządzone, iż całe stada odrazu chwytają. Latem, gdy jeziora i błota obeschną, chodzą ponad brzegami, zabijając pociskami mnóstwo dzikich kaczek, gęsi i łabędzi.

Korzyści odniesione z polowania tego wynagradzają ich trudy i znoje. Zyrjanie bowiem z tego nietylko podatki skarbowe opłacają, lecz i potrzeby domowe zaspokajają.

Plemię to ma swój odrębny język.

W drukarni J. Unger.— Wolno drukować. Warszawa d. 2 (14) Lipca 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*